

# Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków

w Królestwie Polskiem.

10

Ciąg dalszy.

— Tamten szampan przyniósł mi wygraną a ten jest z waszych pieniędzy panowie.  
— Ile też pan wygrał? — spytał Jegorow.  
— Gracz nie powie prawdy, ale nie jestem zawodowym... i zdaje się, że około stu pięćdziesięciu rubli.  
— Panowie, zdrowie szczęśliwego gracza, który do bogatej Warszawy wiezie nasze ubogie pieniądze! — zawołał Jegorow.  
— Oby przegrał z nami! — krzyknął Kola, wznosząc kieliszek.  
— Widać naszego brata — wołał rozczulony naczelnik, przyciskając swe grube wargi do ust Koli.  
— Oby przegrał! — zakrzyknęli inni.  
W tem wpadł żołnierz z odwachu i pobladły zameldował o powrocie żołnierzy bez rezultatu ze wsi Olszanki.  
— Czyś zwaryował? — krzyknął Martynow — co pleciesz? jaka Olszanka?  
— Wasze błagorodie rozkazał.  
— Zwaryował... zawołaj mi tu feldfebla! — a do towarzyszków — jakaś pomyłka, czy co?  
— Hm... zdarza się i to — zaczął naczelnik, odstawny kapitan i jał opowiadać w splełany sposób dzieje patrolu.  
Zanim skończył swą historię wszedł feldfebel i meldował, że żołnierze wysłani na złuzowanie warty przy kasie, zostali w drodze skierowani do Olszanki, jakoby na rewizję i obecnie wrócili.  
— Ktoś z naszych zrobił głupi żart — odezwał się Jegorow.  
— Nic innego — dodał Martynow — a posłałeś na zmianę przy kasie?  
— Nie było rozkazu.  
— Poszlij... i nie nudźcie mnie do czorta.  
Zasiedli znów do gry; Kola był w doskonałym humorze, opowiadał zabawne anegdoty i co chwila rozbrzmiewał pokój głośnie mi śmiechami. Jeden tylko Bal nie mógł się dostroić do ogólnej wesołości: czekał z pewną obawą chwili, gdy feldfebel zamelduje o związaniu żołnierzy na posterunku. Spojrzał na grających; wszyscy byli podnieceni trunkiem, najbardziej dwaj naczelnicy, najmniej Kola.  
To go pocieszyło, gdyż zanim się wytrzeźwiał, aby wydać stosowne rozkazy do schwytania winnych zabrania kasy, ci będą daleko, a Wanda jest już od kilku godzin w domu. Czynił sobie gorzkie wymówki, że Młota i Marcelego wysłał dalszą drogą, ale ktoś mógł przewidzieć, że dopiero po drugiej zaczęła się poszukiwania za żołnierzami z posterunku.  
Teraz już nie wszedł, ale wpadł struchlały feldfebel i z progu zawołał:  
— Wasze błagorodie, żołnierze przy kasie byli powiązani, okno rozbite, kasa rozbita!  
— Co? co? — spytał pobladły Martynow.  
Żołnierz powtórzył.  
Wszyscy rzucili karty na stół; Martynow cały drżący ubierał się skwapliwie; Jegorow szukał szabli nie umiejąc jej znaleźć; obydwa naczelnicy skwapliwie ubierali się w płaszcze, wszyscy wystraszeni, bełkotali tylko urywane wyrazy.  
Na razie zdawało się, że wszystkich ta wiadomość otrzeźwiła.  
Wasył Wasyliwicz pierwszy się opamiętał i zawołał:  
— Trzeba zatrzeć na alarm! — i otworzył drzwi, przez które wpadły donośne tony trąbki alarmowej z odwachu.  
Kola i Bal stali z boku, a po wyjściu gości rzekł Bal do zastraszonego gospodarza:  
— Jutro ureguluję rachunek — a powiedział z miną tak pańską, że Szaja skłonił się nisko, mówiąc:  
— Słucham wielmożnego pana.  
Gdy już byli w zajeździe, posłyszeli szybkie kroki piechoty i tupot kłusujących koni kozackich.  
Nad ranem zbudziło ich ostre pukanie do drzwi a po otwarciu wpadli żołnierze przetrząsając pokój i jako nietutejszych chciał feldfebel prowadzić na odwach, dopiero wdanie się starszego strażnika uwolniło ich od tego. Wcałem miasteczku zarzą-

dzono ścisłą rewizję, poszukując sprawców i za-aresztowano przeszło sto osób podejrzanych.

Bal chcąc się dowiedzieć o zarządzeniach pościgu, poszedł wraz z Kolą do naczelnika powiatu. Zastali obu naczelników przygnębionych, zastanawiających się nad możliwymi następstwami zabrania kasy.

— No, nigdy się nie spodziewałem tak śmiałej zbrodni, porwali się na rząd, na kasnaczejstwo, i to gdzie? W moim powiecie! — i zaklął siarczyście.

— I nie natrafiono na ślad? — spytał Bal zainteresowany.

— Gdzieżby, takie łajdaki nie zostawili nic, ale to nic.

— No darujcie naczelniku — odezwał się Wasył Wasyliwicz — zostawili kwit i przekłety sztandar.

— To były drwiny! — zawołał z pasją naczelnik — no, złapię ja którego, będzie mu ciepło...

— Ale jakim sposobem mogli zrabować kasę, czyż nie było straży? — spytał Kola.

— Wojsko winno, tylko wojsko! — zawołał z gniewem Wasył Wasyliwicz — i tam są wspólnicy. Soldaci zeznali, że hasło było prawdziwe; inni soldaci, którzy szli na zmianę, jak sami słyszeliście, zostali wysłani za miasto. Do Dymitrowa soldat chciał strzelać, gdy ten zamierzał zbadać budynek, to i któż winien? Wojsko!... Ale tym sukinsynom nic nie będzie, a mnie ukarzą.

— A mnie? — spytał żałośnie naczelnik.

— E, co tam wam!? Już piąty rok na miejscu siedzicie, kupiliście majątek, co dla was odstawka? Ale ja? Zaledwie dwa lata.

— Jest i u was gotówka... wiemy.

— Ja się nie wypieram, na stare lata coś zacząłem zbierać, ale nawet chałupy nie kupię a wy macie wieść.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Bal:

— Może to wszystko na dobre się obróci, jak schwycą winnych, będzie to wielką zasługą panów wobec rządu.

— Nu, jak schwycą — uśmiechnął się błogo naczelnik — telegramy poszły na wszystkie strony, kozacy ruszyli w pościg, strażnicy, żandarmi...

— Nie schwycą, upewniam — rzekł z goryczą Wasył Wasyliwicz — gdyż napad, jak wykazało śledztwo, odbył się pomiędzy 12 a 2 godziną w nocy. Jeszcze o pół do dwunastej żołnierz był na warcie i nie puścił Dymitrowa, a dopiero około trzeciej ruszyli kozacy w pogoń. Zresztą mojem zdaniem winnych i współników trzeba szukać tu w mieście, pomiędzy wojskowymi.

— Nu, niema co, pożyczili się skatiny — westchnął naczelnik — toż pół miliona, to nie żarty!

— Byle dostać którego żywcem — rzekł Kola — już on wyśpiewa.

— I my wiemy o tem, to też kozacy i strażnicy mają rozkaz brać tylko żywcem, inaczej wszystko przepadnie, bo w pierw sami obrabują a oddadzą nagiego trupa.

Bal począł się żegnać z naczelnikami, oświadczając, że dziś wyjeżdża do Warszawy.

— Muszę i ja jechać do naczalstwa — westchnął naczelnik — to możebyśmy tak razem pojechali na stację?

— Będzie mi bardzo przyjemnie i po czwartej będę tutaj.

— Więc do widzenia, a kłaniaj się pan odemnie panu Żegielskiemu, to porządny obywatel, spokojny.

— Dziękuję.

Gdy przechodzili przez rynek, jakiś żyd ukłonił się im nisko. Poznał w nim Bal stolarza Chaima i puszczając przodem Kola, spytał:

— Jakże tam moja skrzynia?

— Ona jutro będzie — a ciszej — dziś o ósmej byłem już tu... towarzysze odjechali.

— Dziękuję towarzyszu.

— Ja mam jeszcze prośbę... Niech pan powie towarzyszowi Nestbergowi, że Chaim Nuss zrobił co mu kazano, czy dobrze?

— Naturalnie, on będzie wiedział o wszystkim i jeszcze raz wam dziękuję.

— Niema za co... a skrzynia jutro będzie.

Zanim dojechali do dworu Żegielskich spotkali na drodze wyczekującą ich Wandę.

— Taka byłam o was niespokojna — mówiła, gdy wysiedli z powozu i szli ku dworowi — jak można było leżać w paszczę smoka!

— To nas uratowało — zaśmiał się brat — a teraz twoja historia.

— Dojechałam z trzema towarzyszami szczęśliwie do domu, sama powoziłam, ale konie nie-szczególne, zwłaszcza wiesz, ten prawy, orczykowy...

— Nie, nie wiem, bo nie widziałem... cóż dalej?

— Nie wiesz? Myślałam, że kupiłeś?

— Nie, tylko pożyczylem i cóż?

— Stałam przy furtce ogrodowej, wiesz ta na poln, złożyli wszystkie woreczki i odjechali. Nie pozwoliłam im zatrzymywać się — spojrzała, czekając uznania.

— To bardzo przezornie — pochwalił Kola — bo mogli ich pochwytać kozacy lub strażnicy.

— Domyśliłam się tego — skinęła głową — ale największy kłopot miałam z wnoszeniem złota, bo tego dużo i ciężkie. Cztery razy wracałam po złoto, ale nikt mnie nie dojrzał. Raz zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi, schowałam się w krzaki, ale to...

— Była krowa — zaśmiał się brat.

— Nie zgadłeś, to był łanowy, wracający z pola. Otóż to całe złoto jest w moim pokoju, a ile tego, sama nie wiem.

— Nie liczyłeś?

— Czy oddałeś mi pod rachunkiem?

— Nie było czasu Wandziu, a teraz każ sobie przynieść mój kuferek, ja przyjdę i spakujemy.

— I ty sam powiesz? A jeśli cię złapią?

— Nie sam, bo z Kolą i naczelnikiem, a złapać się nie dam.

— O brat pani przebiegły — uśmiechnął się Kola — sam naczelnik dopilnuje, aby złota nikt nie dotknął.

— A gdyby pan był go widział wczoraj, jak przemawiał i ten sztandar! — patrzyła z uwielbieniem na brata — ale teraz musisz mnie już zabrać do Warszawy. Jestem wtajemniczona i bez mego udziału złoto zostałoby w kasie. Należy mi się nagroda.

— My pracujemy dla idei, nie dla nagrody — zaśmiał się.

— Bez żartów, Władziu... ja tu nie wytrzymam.

— Dobrze, już dobrze... ale nie dziś, napiszę do Stefci.

— Kiedy? Zaraz po przyjeździe, dobrze?

— Na trzeci dzień, uprzedzę ciocię i przyjeżdżesz — a widząc niedowierzanie dodał — daję ci na to słowo.

— Jakiś ty dobry! — uściśnęła jego rękę.

— Czy Żegielscy wiedzą o kasie?

— Zdaje się, że nie, ale nie wiem, oni ukrywają przedemną różne rzeczy, aby mnie nie gorzyć — zaśmiała się.

— Postępują bardzo słusznie z młodą pa-nienką.

— Tylko proszę cię ty ich nie naśladować, a znów tak bardzo młodą nie jestem i znam życie — kończyła z powagą.

W czasie objadu zwrócił się Żegielski do szwagra:

— Mówią we wsi, że podobno zrabowano kasę, czy to prawda?

— Najprawdziwsza. Byliśmy obaj świadkami, gdy dano o tem znać naczelnikowi.

— Więc to nie plotka? No, no, tegom się nie spodziewałem — poruszył głową, jedząc dalej potrawę — chyba, że nie było żołnierza na warcie?

— Było dwóch i obu związane i zakneblowano.

Żegielski odłożył nóż i widelec i wpatrzył się z obawą w szwagra.

— Mówisz, że związane i zakneblowano?! Ależ to prawdziwy napad. I nie strzelali? A gdzież wojsko, strażnicy, dragoni?

Zgorszona mina Żegielskiego wydała się Koli tak zabawną, że uśmiechnął się mimowoli i rzekł:

— Istotnie napad był dziwnie śmiały wobec piechoty i dwóch secin kozaków w mieście.

— Nawet kozacy byli? Czy schwytano rabusiów?

— Dotychczas nie.

— Ale czy są jakie poszlaki? podejrzenia? Wobec takich napadów nie będzie można mieć chwili spokojnej, to straszne.

— Tak, to okropne — odezwała się żona.

— Kasę rządową skonfiskowała partya — mówił Bal z miną obojętną — zostawiono pokwitowanie z odbioru i sztandar czerwony.

— Nie, ty Władziu chyba żartujesz?

— Sam naczelnik opowiadał nam dzisiaj i gdzie wraz z nami do gubernatora.

— Ależ to koniec świata! — zawołał zgorszony — to był rabunek, a ty nazywasz to konfi-